№ 40. Warszawa, dnia (19 Września) 1 Października 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2 Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3. pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu 1 szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz 1 szpaltowy garmontu kop. 50.

Wiktor Gomulicki.

WYZWOLONA.

Karta z życia.

I.

Na ratuszu wybiła pierwsza. Drżące dźwięki zegara rozpłynęły się zwolna w cichem, gorącem powietrzu lipcowego południa.

Dalewicz, kasyer gubernialny w X. podniósł się z wysiedzianego fotelu. Był wysoki, chudy, wygolony. Przy ściągłych policzkach i zapadłej piersi dziwne czynił wrażenie jego brzuch niewielki, ale mocno wypukły. Czynił on wrażenie sztucznego, aktorskiego brzucha, wypchanego sianem.

Dalewicz wstał, przeciągnął się i bezdźwięcznym głosem zawołał:

— Woźny!

— Słucham! — odkrzyknął, stając we drzwiach młody, sztywny, ex-żołnierz, od niedawna do rezerwy zaliczony.

— Pójdziesz do pani...

Woźny zrobił pół obrotu w prawo, i pomaszerował ku wyjściu.

— Stój! stój!—krzyknął za nim kasyer.

— Słucham — rzekł służbista, w miejscu stając.

— Z czemże chciałeś iść?

— Z niczem.

— To słuchajże.

— Słucham.

— Pójdziesz do pani i powiesz, że przyjdę za piętnaście minut.

— Nie, nie za piętnaście — za siedemnaście.

— Słucham.

Woźny wyszedł krokiem żołnierskim.

Gdy przechodził mimo okna, Dalewicz wytknął głowę lufcikiem.

— Upomnij panią—dodał—żeby kaczki nie wysuszyła...

— Słucham.

Biuro już opustoszało. Na korytarzach słychać było szybkie kroki ostatnich, spieszących na obiad, urzędników.

Dalewicz jednak nie opuszczał zadusznej, wonią zbutwiałego papieru nasiąkłej izby. Miał on dziś dzień pracowity, ale miły. Przyjmował podatki i wypłacał pensyę urzędnikom. Udało mu się też szczęśliwie pochwycić fałszywą 25-rublówkę, którą natychmiast ostemplował i protokół z niej spisał. Był to dla niego, jak zwykle, najprzyjemniejszy dzień w miesiącu.

Pozostawało już tylko jedno: wypłacić pensyę kasyerowi. Dalewicz dopełniał tego zawsze z wielką solennością, załatwiwszy się wpierw z innymi.

I teraz zwrócił się w tym celu uroczyście ku drzwiom okutym, wiodącym do kasy, gdy wtem zaszepleniono u okienka:

— Sto lat zdrowia kasyerowi dobrodziejowi!

Odwrócił się z zaciśniętemi gniewnie ustami.

Do okienka wspinał się mały człeczyna — siwy, bezzębny. Był to stary Skulski, przychodzący po emeryturę. Zawsze się spóźniał, bo miał nogi słabe, a mieszkał na drugim końcu miasta.

— Kasa zamknięta — mruknął Dalewicz przez zęby, opryskliwie.

— Ale pan Dalewicz dobrodziej obecny, to kasę otworzy — mówił wesoło tamten, pokazując w uśmiechu puste dziąsła.

— Mówię, że kasa zamknięta — powtórzył z pasyą Dalewicz.

— He, he.. zamknięta dla innych, ale nie dla przyjaciół—nie dla Skulskiego...

Dalewicz wyprostował zgarbione plecy, wielki nos podniósł do pułapu. Zdawało się, że go jeszcze z pół łokcia przybyło.

— Mój panie — wyrzekł wyniośle, otwierając teraz na całą szerokość usta.—Tu niema żadnych Skulskich ani Dalewiczów. Tu jest tylko urzędnik i interesant, mój panie.

I odwrócił się od staruszka z miną, która kładła koniec wszelkiej rozmowie.

Strapiony emeryt przestał uśmiechać się, zamknął usta, i w zakłopotaniu szurał nogami po podłodze.

— Rozumiem — rzekł wreszcie, jakby do siebie. — Punktualność... służbistość... sprężystość...

I pokłoniwszy się nizko plecom kasyerskim, odszedł.

Dalewicz, odliczywszy swą pensyę miesięczną w samych rublowych papierkach, powrócił do biurka. W jednej z przegródek leżały tam już przygotowane małe, płócienne woreczki. Każdy nosił na sobie czarny, atramentem nakreślony napis. Na jednym czytało się: *Prowianty obiadowe*, na drugim *Cukier i Herbata*, na trzecim *Nafta i świece* na czwartym *Edukacya córki* i t. d.

Do każdego woreczka wsunął pewną ilość rubli, potem woreczki umieścił w obszernych kieszeniach mundurowego fraka.

Został jeszcze na biurku jeden rubel w drobnej monecie. Pozawijał błyszczący bilon w małe papierki, i powtykał do kieszonek w kamizelce.

Woźnemu, który już wrócił od „pani," kazał drzwi pozamykać, i zarzuciwszy na frak beżową okrywkę—wyszedł z biura.

Spojrzał na zegarek: miał jeszcze siedem minut czasu. Wystarczało to do dwukrotnego okrążenia rynku i wstąpienia do apteki po pewne, wiadome sobie, pigułki.

Gdy miarowym krokiem obchodził do koła rynek, mimo sklepów żydowskich, zkąd co kilka chwil wypadały mu pod nogi rozczochrane żydzięta—miał minę ministra, rozmyślającego nad tajemnicą gabinetową. Zajmowała go jednak w rzeczywistości rzecz o wiele skromniejsza. Myślał: jak żona jego

obdzieli jedną kaczką troje osób w taki sposób, aby jemu dostały się części najlepsze?

Każdy dzień wypłaty obchodzony był w domu kasyera smaczniejszym niż zwykle obiadem, z leguminą, po której następował nieodmiennie poncz na winie—gorący zimą, mrożony latem.

Dobiegała do końca siedemnasta minuta, gdy Dalewicz, wszystkiego dopełniwszy, ujmował za klamkę własnego mieszkania. Był rozpromieniony, długim nosem wciągał z rozkoszą zapach pieczonej kaczki z jabłkami — oblizywał się...

Nagle twarz mu się ściągnęła, nos opadł. Usłyszał w bawialni żonę głośno rozmawiającą z jakimś gościem. Cofnął się i wszedł przez kuchnię do pokoju stołowego.

Nie omyliło go przeczucie: stół był nakryty na cztery osoby.

— Ciekawym, jak ona teraz kaczkę rozdzieli! — mruknął z pasyą, ciskając laskę do kąta.

— No, stryjku, jak się mamy! Nie miał nic głupszego do roboty, tak i do was przyjechał.

Młodzieniec, który z temi słowami rzucił się wchodzącemu Dalewiczowi na szyję, był niewielkiego wzrostu, blondynem, o rzadkiej ale wysoko wzbitej czuprynie i takiejże rozczochranej brodzie. Wytarty mundur wskazywał, że był uczniem jednego z uniwersytetów w Cesarstwie. Na ogół czynił on wrażenie czegoś wypłowiałego. Jego oczy, włosy, policzki, usta miały jedną barwę, a właściwie żadnej barwy nie miały.

W młodzieńcu tym nie trudno było odgadnąć suchotnika.

Był to Michał *vel* Miś Popiołek, syn cioteczniej siostry Dalewicza.

Kasyer nie zadawał sobie trudu z ukryciem złego humoru. Skrzywiwszy się podsunął siostrzanowi wydęty policzek do pocałowania, mruknął: „Matka zdrowa?" i nie czekając na odpowiedź—przeszedł do następnego pokoju.

Nie lubił niczego, co nadwerężało porządek domowy i psuło równowagę budżetu; nienawistne mu były zwłaszcza obce „gęby" przy obiedzie.

I teraz ze zgrozą dojrzał kilka niedopałków papierosowych na woskowanej podłodze; ze strachem też pomyślał, że przez czas dłuższy, zamiast trojga osób, będzie czworo siadało przy stole.

Ale student nic sobie z tego nie robił. Zaciągając się dziesiątym z rzędu papierosem, kończył on opowiadać jakąś wesołą historyę siedzącej na kanapie kasyerowej.

Dalewiczowa była niewielką, zażywną bru netką, dość świeżą i przystojną, mimo lat czterdziestu. Miała zwłaszcza ładne czarne oczy, które w rozmowie zalotnie mrużyła.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

„BEREZYNA"

Panorama.

Pogodnie, cicho zaszło słońce nad olbrzymią równiną śnieżną; ostatnie blaski jego złotem lub czerwienią padają na wierzchołki jodeł, ślizgają się po pagórkach, palą blado-żółtem, jesiennem światłem w gęstych, nizkich zaroślach. Cisza na niebie, ale na ziemi niemasz ciszy.

„Bóg wojny" przywiódł tu hufce swoje, z krańców świata spędzone zastępy, i szaleje po śnieżnem, niezmierzonem błoniu. Tu krew, strach, śmierć! Tu odgrywa się jeden z ostatnich aktów tragicznego poematu, który nazywa się w dziejach: „Napoleon."

Poemat to pisany krwią i łzami ludzkości, pełen blasków niezwykłych, tytanicznych tchnień, orlich lotów, pełen szumu sztandarów, huku dział i jęku umierających. Olbrzymia ta fantazya ma się ku końcowi. Chwila jeszcze, a gwiazda przeznaczeń jej bohatera zamgli się, zamroczy i zgaśnie. Znużone armie położą się do grobu, lub tułaczo rozsypią po świecie, sztandary sławy ogień spożyje, i cisza znowu zapanuje na ziemi. W powietrzu zdaje się już unosić słowo: śmierć i słowo: koniec.

Oto pierwsze wrażenia, które wpadły mi do duszy, gdy znalazłam się przed olbrzymiem dziełem naszych malarzy: Fałata, Kossaka, Stanisławskiego i paru innych. Później dopiero chwytałam szczegóły, fragmenty, epizody, których tu pełno, i z których każdy prawie skończoną jest w sobie całością.

Czytelnikom, tym zwłaszcza, którzy panoramy nie będą mogli obejrzeć, chciałabym opowiedzieć jaknajwierniej ten obraz, odtwarzający jedną z bardziej pamiętnych kart dziejowych. Artyści wdzięczny obrali sobie temat. Dzień 27 Listopada w kampanii napoleońskiej r. 1812 najtragiczniejszemi niemal zapisał się zgłoskami. W dniu tym osaczona pierścieniem wojsk nieprzyjacielskich, cofająca się armia francuzka przejść miała błotnistą, wpółzamarzniętą Berezynę. Pod gradem kul, pchane naprzód strachem, fizycznie i moralnie znędzniałe zastępy Napoleona, wdarły się na zbudowane naprędce mosty. Komuż z nas nie tkwią w pamięci ułamki ustnej tradycyi, przedstawiające chwilę tę w najokropniejszych kolorach. Przed „strachu szatanem" pokorzyły się ludzkie serca, brat stał się bratu wrogiem. Przerażeniem opętany tłum w zwierzęcym szale pchał się na owe mosty, kłębiąc, walcząc ze sobą, spychając i tratując nawzajem. Była to chwila rozpętania brutalnych instynktów człowieka, chwila wstrętna i przejmująca zgrozą. Załamanie się mostu pod naciskiem tej zbrodniczej i nieszczęsnej gromady dopełniło miarę klęski, uczyniło dzień ten przeklętym w pamięci współczesnych i następnych pokoleń.

Na obrazie widzimy dwa mosty; na obydwóch natłok, wiązanie jednego z nich pęka pod ciężarem prowadzonego działa. Czy dlatego, że wyobraźnia moja namalowała mi owo przejście Berezyny w sposób bardziej może od samej rzeczywistości przerażający, czy z powodu oddalenia nie pozwalającego dojrzeć twarzy wykrzywionych przestrachem, oczu błędnych, rozpaczliwych ruchów, dość, że te mosty nie wydają mi się owiane taką grozą, w jaką odziała je historya i legenda. To przejście odbywa się względnie dosyć spokojnie i porządnie. Toną wprawdzie ludzie i konie, widać ręce wyciągające się z wody, inne uczepione konwulsyjnie u mostu, widać kobietę klęczącą na ruchomej krze, i błagalnym ruchem wyciągającą dziecię swoje ku ludziom idącym przez most i t. d., ale tego wszystkiego jest ilościowo za mało. Mimowoli przychodzi na myśl, że rzeczywistość musiała być w pomysły okropne bogatszą.

Jakby dla rozjaśnienia przykrego widoku poniżonej strachem natury ludzkiej, umieszczono tuż przy moście garstkę bohaterów w wirze bitwy, w szale ucieczki, pełniących cicho swój obowiązek. To wpółnadzy pontonierzy. Jedni pracują koło naprawy mostu, drudzy spieszą na ratunek tonącym. A dalej, nad brzegiem rzeki zestawiona baterya posyła strzały na drugą stronę rzeki nieprzyjacielowi nacierającemu na niedobitków. I tu ludzie pilnie, sprawnie, posłusznie pełnią rozkazy, i tu strach nie ma przystępu do serc. Na bliższych za to planach piekło ucieczki. Kareta artystek z „Comedie Française," powozy prywatne, kozackie telegi, cały tabor tamujący pochody, zawadzający w obrotach, całe gromady małodusznych. Pękające przed końmi granaty sprawiają popłoch nieopisany. Cokolwiek dalej spokojniejsze przedstawiają się widoki. Jakieś ognisko, chwila odpoczynku... poza niem oddział strzelców konnych prowadzi jeńców rossyjskich, w oddali kolumny Oudinota, a właściwie Ney'a bronią wojska francuzkie od napaści Czyczagowa.

Posuńmy się znów o parę kroków. Na karabinach niosą żołnierze rannego.

Wprost nieszczęsnych mostów, niby posępne *pendant* do tamtych krwawych widoków, odbywa się wzruszająca scena palenia sztandarów. Ogień świetnie namalowany, prawdziwy zda się ogień pożera złote orły cesarskie. Coraz więcej chorągwi znoszą żołnierze i pochylają nad płomieniem ogniska. Napoleon siedzi na bębnie i patrzy, jak płoną oznaki sławy jego i wielkości. Cesarz wydaje się mały, zgnębiony, obrany z uroku. Po za nim salutuje ginące sztandary sztab z królów i książąt złożony. Murat, Eugeniusz Beauharnais, ks. Józef Poniatowski, Ney, Davoust, Duroc i t. d. W niewielkiem oddaleniu stanął poza nimi „święty szwadron." Składają go oficerowie pułków wytępionych w bojach. Różnojęzycznym, różnobarwnym, bohaterskim szwadronem dowodzą generałowie dywizyi. Z boku mameluk Rustan drżący od zimna, trzyma w pogotowiu siwego rumaka cesarza. Ta część obrazu namalowana jest ze szczególną starannością, konie pełne życia, postacie ludzkie wypuklają się świetnie.

Postawićby można zarzut, że stosunkowo do innych równie blizkich widza, są za duże. Zostawmy popioły sztandarów i serc wielkich popioły, i szarżę ułanów — chodźmy nieco dalej. Oto cmentarz, obok cmentarza rozłożyła się armia na chwilowy odpoczynek. Broń ustawiono w kozły, rozpalono

ogniska, dymy wznoszą się w górę, a dalej, dalej, to już tylko płaszczyzna śnieżna bez końca. Tu i owdzie gromadki ludzi. Tu pieką mięso końskie na rożnie, ówdzie rozbierają stóg siana i t. p.

Melancholje bezbrzeżne płyną od dalekich przestrzeni białych, od chmur wysuwających się z nad horyzontu. Powietrze przesiąknięte żółtawo-zielonawem światłem listopadowego zachodu, tchnie rozpaczliwym smutkiem.

Wierzchołki jodeł, wątłe gałązki brzóz płaczących kąpią się w ostatnich blado-czerwonych blaskach, niby w krwi oparach. Wron i wilków stada kłócą się o trupi żer. Zgnębiony, z pochylonem czołem opuszcza widz ten obraz.

„Golgotę" spotykał jednomyślny prawie zarzut braku ruchu, życia, figury wydawały się trochę sztywne, drewnianie, Berezyna za to wre życiem. Kontrast spokojnego sennego pejzażu z rozpętaniem żywiołów ludzkich stanowi najważniejszą tajemnicę potężnego efektu, jaki sprawia to płótno. Wogóle pod względem wartości artystycznej Berezyna wyróżnia się korzystnie wsród panoram, którym niektórzy krytycy odmawiają wogóle prawa do figurowania na liście dzieł sztuki. Do rzędu *sztuczek* Berezyny zepchnąć niepodobna.

Najważniejszy zarzut, jaki ośmieliłabym się postawić przepięknemu zresztą pejzażowi, dotyczy zachodzącego za pagórkiem słońca. Ten zachód jest za mało jaskrawy, jest żółty, jest prawie zielony. Takim bywa zachód zimowy, ale wtedy nie palą się czerwone blaski na wierzchołkach drzew, niema w powietrzu rozpylonej purpury. Poza tem, za wielkie rozmiary niektórych figur, stanowczo za duże wrony, stanowią drobne usterki pięknego i wzruszającego dzieła.

Oprócz wartości artystycznej, która jest względną naturalnie, panoramy mają wartość społeczną kształcącą. Wartość tę należy zużytkować w jaknajszerszym zakresie. Wejście na „Berezynę" należy uprzystępnić. Przy obecnej cenie biletów jest ona dla ludzi niezamożnych zamkniętą.

H. C.



27 Września 1898 roku.

Wystawy ciepłych kostyumów i okrywek rozpoczynają się w tej chwili po wielkich magazynach, nie można ich jednak uważać za ostatni wyraz mody zimowej. W końcu Października dopiero nowe pomysły staną się dostępnymi dla ogółu. Nim to nastąpi, widzimy je tylko w pierwszorzędnych zakładach krawieckich.

Mamy właśnie przed sobą setki próbek nowych wełnianych tkanin, udzielone nam przez panią Elizę Petit (Merry), z pracowni przy ulicy St. Lazare. Zawdzięczamy jej również wskazówki dotyczące kroju zimowych sukien i kostyumów.

Jak już mówiliśmy poprzednio, forma polonezek nie odcinanych od stanika, przyjęta dziś powszechnie. Spódnica płaska z przodu i po bokach, rozszerza się znacznie u dołu, za pomocą wielkiego wolantu, krajanego okrągło (en forme), a zatem płaskiego na przyszyciu, a u dołu spadającego rzęsisto. Takie wolanty przyjęte zarówno i do okrywek.

Większa połowa próbek składa się z wyrobów całkiem gładkich; widzimy wśród nich miękki wigoń, ostry cheviot, podwójny kaszmir i mnóstwo innych tkanin, jak tersa angielska w wydatne skośne prążki, granite w gęsią skórkę, popelina wełniana, ryps w wypukłe poprzeczne prążki. Dodajmy do tego cienkie sukno ulubione Paryżankom, z powodu, że się układa w kształtne draperye.

Przewaga tych gładkich wyrobów nad innymi pochodzi ztąd, że do ozdoby sukien i kostyumów przyjęto dziś powszechnie wązkie pletnie przerabiane sznelką i jedwabiem. Ta pletnia wązka na cal, lub na pół cala, naszywa się w fantastyczny sposób na spódnicy i na staniku. Dla osób bardzo wysokich układana poziomo, dla nizkich w podłużnym kierunku. Żywy kolor pletni: bordeaux, zielony, złotawy i t. d., mięszany zwykle z czarnym. Co do kolorów przyjętych w tym roku na suknie, przeważa ciemno-zielony w odcieniu mchowym i rozmarynowym, granatowy zachodzący w odcień fijołkowy, ciemnowiśniowy (raiseh de Corinthe), wydrowy, morderowy, hawana i piaskowy w rozmaitych odcieniach.

Niektóre tkaniny przerabiane w marmurek z czarnym, inne mają poprzeczne paski wypukłe i sztywne jak sznurek, na innych wyrabiany deseń czarny, naśladujący pasmanteryę lub wyszycie sutaszem.

Suknie białe wełniane do teatru i na mniejsze wieczorne zebrania, powszechnie będą używane.

Mamy przed sobą bardzo ładne próbki w śmietankowym odcieniu. Do najstrojniejszych należy *granite* przerabiany w jedwabne punkciki, i inny śliczny wyrób w wypukły jedwabny deseń, naśladujący plaster miodu, ztąd nazwany *nid d'abeille*.

Na ranne szlafroczki, żakietki i paletociki do domowego ubrania widzimy bardzo ciepły molton, miękki i gładki jak aksamit zwany *Gaulois velour*.

Ukazał się w tym roku piękny wyrób *mutlasse*, na okrywki do wyjścia na wieczór lub do teatru. Jest to puszysty molton biały, przerabiany z wierzchu w ciągniony deseń kolorowym jedwabiem, różowym, błękitnym, lilla i t. p. Okrywki te przedłużone w tyle, przybrane wstążką atłasową, odpowiedniego koloru, bardzo świetnie wyglądają, przytem nadzwyczaj lekkie, nie potrzebują podbicia.

Na ranne szlafroczki przygotowano molton pequine na tle białym w podłużne paski niebieskie, różowe, niekiedy czarne. Mniej strojno wygląda molton szkocki w kratę czarną z białem; w odstępach przechodzą szerokie pasy morderowe, szafirowe lub orzechowe.

W strojnych wyrobach z wełny mięszanej z jedwabiem, na wizytowe suknie i kostyumy wielka panuje rozmaitość; widzimy je w kraty, w ciągniony deseń, lub też w wypukłe paski aksamitne, dawane zwykle w poprzek. Odznacza się tu wigoń w poprzeczne pasy, przerabiane w deseń mozaikowy na tle białem, szafirowem, bordeaux albo zielonem; ten pas mozaikowy pokrywają leciuchne strzępki z koziej wełny. Oryginalna ta tkanina zwana „Cyrano de Bergerac" znajdzie niemałę wziętość dla samego nazwiska sztuki ulubionej dziś Paryżanom.

Inna znów, niemniej oryginalna tkanina przerabiana cała wpoprzek, w paski na cal szerokie, jakby naszyte czarnem futerkiem astrachańskiem, na tle zielonem, szafirowem lub bordeaux.

Najstrojniejszy z tych wszystkich wyrobów, zwany *Mariquita* składa się cały z poprzecznych pasów czarnych wełnianych, na jedwabnem tle zielonem, miedzianem lub jasnoszafirowem. Te czarne pasy obwiedzione z obu stron wązkim paskiem czarnym aksamitnym. Suknia taka bardzo świetnie wygląda, ale i ceną nie ustępuje wcale jedwabnej. Metr kosztuje przeszło dwadzieścia franków. Szerokość za to dubeltowa.

Opis gotowych sukien z tych tkanin zostawiamy do przyszłego sprawozdania, dziś powiedzmy o pięknych okrywkach jesiennych i zimowych z zakładu pani Elizy Petit. Są to płaszczyki wązkie w górze, rozszerzone u dołu, sięgające poniżej kolan. Tylny bryt znacznie dłuższy. Najstrojniejszy z nich czarny aksamitny haftowany u dołu w wielki jedwabny deseń; takiż haft dany wkoło przez plecy, piersi i ramiona.

Płaszczyk podbity pikowanym atłasem bordeaux, objęty futrem kozy bengalskiej. Od szyi podniesiony kołnierz médicis z tegoż samego futra.

Drugi podobny płaszczyk z ciepłego sukna czarnego, zamiast haftu, naszyty pasmanteryą w formie paproci pomięszanej z dżetem.

Trzeci najskromniejszy płaszczyk z sukienka w kolorze hawana, ma u dołu falbanę na ćwierć łokcia szeroką krajaną *en forme*, okrągło, całkiem płaską na przyszyciu, u dołu tylko odstającą. Przez cały płaszczyk przechodzą wpoprzek dwie takież same falbany, przytwierdzone czarnym galonikiem. Kołnierz do tego podniesiony, podbicie z szafirowego atłasu.

Zwrócił też uwagę naszą ładny paletotj a raczej poloneza do kolan, obcisła w stanie z wigoniu w kolorze wydrowym, w bardzo wypukłe prążki schodzące się ukośno z przodu. Stan spięty od szyi poniżej pasa, dale, zaokrąglone poły, rozchodzą się znacznie przedłużone w tyle. W koło polonezka objęta futrem bobrowym szeroko na piersiach i u dołu, w stanie zupełnie wązko. Kołnierz bobrowy podniesiony do góry, rękawy całkiem wązkie, przedłużone u ręki.

Zapiszmy tu jeszcze długi żakiet z szafirowego sukienka, obcisły do figury, spięty

z lewego boku na wielkie hebanowe guziki. Od stanu poły ścięte okrągło, w tyle długie przeszło na łokieć. Wkoło idzie plisa czarna aksamitna, przytwierdzona rulonem atłasowym. Na to dany wielki kołnierz w formie pelerynki, rozchodzący się z przodu, zakończony w górze wysokim kołnierzem médicis. Rękawy bardzo wązkie pokrywają połowę ręki.

W kapeluszach niesłychana rozmaitość wogóle, tylko wyższe od zeszłorocznych. Jedne z nich tak kastorowe jak aksamitne, mają brzeg mocno nagięty nad czołem, podniesiony po obu strobach; u innych do małej główki przytwierdzony okrągły daszek, jak u męzkiego kaszkiecika. Wszystkie ubierane piórami, lecz te nie podniesione w górę piramidalnie, rozchodzą się raczej na boki, przepina je w środku rozeta aksamitna.

Z powodu stale panującej pogody, widzimy na ulicy same prawie letnie kapelusze. Opis szczegółowy zimowych zostawiamy do listopadowego sprawozdania.

Seweryna Duchińska.

Gorączka złota.

Peryodycznie zawsze wraz z odkryciem nowych pokładów drogiego kruszczu roznamiętniają się tłumy, tworzą emigracye, porzucają ludzie nawet byt dostatni, byle spieszyć za morza po tę magiczną potęgę, której kłaniano się zawsze, a której schyłek stulecia naszego kłania się niżej i pokorniej chyba, niż jakakolwiek inna epoka.

Tak było onego czasu po odkryciu min złotodajnych w Kalifornii, na takie same objawy patrzył świat aż do ostatnich czasów eksploatacyi złota w Transwaalu, takie same dreszcze gorączkowe przechodzą społeczność od chwili, gdy się rozniosła wieść o odkryciu kopalni tego króla metalów na półwyspie Alaska w Ameryce podbiegunowej.

Emigracyi z Europy zapobiegają do pewnego stopnia rządy, tak jak to naprzykład zrobiło w roku bieżącym ministeryum spraw wewnętrznych we Francyi, które upowszechniając za pomocą okólników wiadomości o warunkach miejscowych klimatu, o kosztach podróży i egzystencyi na tym lądzie arktycznym, ostudziło wiele niewczesnych zapałów i powstrzymało sporą ilość desperatów i awanturników. Jest oczywiście i europejska emigracya w tej krainie lodów i nocy, ale liczebnie biorąc, wszyscy razem wzięci poszukiwacze złota europejskiego pochodzenia nie dali takiego kontyngensu temu ruchowi, jak Ameryka jedna.

Niepospolitą rolę odgrywa w tej sprawie nieświadomość. Ludziom wogóle zdaje się, że zima to jest sobie mniej więcej wszędzie taka pora, która nastaje dlatego, że się lato kiedyś skończyć musi, ale żeby to miało być coś w istocie strasznego w pewnych strefach, żeby były takie strony, gdzie zamarza rtęć w termometrze, żelazo parzy dłoń na podobieństwo ognia, i żeby ta pora trwała tam przez $^2/_3$ roku, o tem wie z emigrujących jeden na dziesięciu ludzi ciemnych zaledwie. Dosyć ciekawych szczegółów dotyczących dzisiejszej emigracyi do najbardziej na północ wysuniętych krańców Ameryki, ogłasza w jednym z przeglądów francuzkich p. Amfreville. Według objaśnienia tego publicysty szał złota rozpoczął się właściwie w Ameryce dopiero po przybyciu powrotnem pierwszego parowca z Alaski do San-Francisco. Parowcem tym był „Excelsior,” a pamiętna data pod którą wysadził on na ląd amerykański pierwszych ulubieńców fortuny, był 15 Lipca 1897 roku. „Excelsior” przywiózł 40 poszukiwaczy złota wraz z ich zdobyczą wynoszącą 750,000 dolarów (1 milion rubli z górą). Gdy juki, worki i sakwy podróżne wypróżnili ci przybysze na stołach miejscowego banku, rozpaliły się, powiada d'Amfreville, wszystkie wyobraźnie, rozpętały wszystkie namiętności. W kilka dni potem przybywający statek „Portland,” na którym powracało 78 kopaczy wraz z 5,000,000 dolarów, dokonał formalnego przewrotu w umysłach nawet ludzi miejscowych spokojnych i oddanych pracy. Odtąd uwierzyli wszyscy, że dosyć jest tam na tej dalekiej północy schylić się, żeby zgarniać ten metal upragniony, i odtąd też zbierać zaczęła żniwo prawdziwe kompania transportowa. Rolnik i mieszczanin, urzędnik czy kupiec, ten co z łatwością opłacał przewóz za siebie i za swój bagaż podróżny, zarówno jak taki, który na drogę wyprzedawał ostatki mienia — wszystko to wybierało się na Alaskę. Jak tu nie było poświęcać resztek, kiedy znani wszystkim biedacy popowracali bogaczami na tych dwóch parowcach. Kowal jakiś naprzykład, nędzarz prawdziwy, po jednym sezonie przybył właścicielem 115,000 dolarów, zbankrutowany fermer oddał bankowi złota za 135,000 dol. i tylu, tylu innych. Dzięki temu 21 Lipca kompania transportowa Północno Amerykańska, która zmonopolizowała w rękach swoich przewóz na Alaskę, ujrzała się w konieczności pomnożenia w czwórnasób swoich sił przewozowych, zakupując naprędce wszystkie jakie się dały zakupić statki w portach Oceanu Spokojnego. Gdy „Excelsior,” który się w dniu 28 Lipca wybierał w podróż powrotną oświadczył, że to jego ostatnia ekspedycya przed zimą, rozpoczęła się licytacya biletów. Normalna dotąd cena praktykowana za przewóz osoby i ładunku, wynosząca 150 dolarów, podskoczyła naraz na 300, 400, 500 dolarów, a znalazł się i taki jeden zapaleniec, który po rozebraniu wszystkich biletow zaofiarował 1,500 dolarów. Ponieważ przy takim rozpędzie interes dla kompanii zbyt korzystnie się przedstawiał, puszczono jeszcze w Sierpniu i to pod koniec parowiec „Williamsett,” co w danych warunkach było wobec zbliżającej się pod biegunem pory zimowej, ryzykiem zupełnem, i wcale niemoralnem w dodatku, jako pokusa dla chciwości ludzkiej. Mimo tego zabrał ten statek 850 podróżnych, 1,200 tonn ładunku i 300 koni.

Przez ten czas dano znać władzom, że tam już w krainie północnej 6,000 osób gotowych, z 2,000 tonn bagażu, oczekuje pory wiosennej, obozując u stóp gór Yukon, i czeka na możność podróży ku szybom złotodajnym. Niezwłocznie tedy wystąpił sekretaryat stanu z odezwą, która wskazywała groźne niebezpieczeństwo przy ryzykowaniu się w tak spóźnionej porze roku. W odpowiedzi na tę odezwę rozesłała kompania przewozowa swoje zawiadomienie, że będzie zabierać jeszcze podróżnych do Alaski aż do 10 Września za kolosalnem wynagrodzeniem 1,000 dolarów od osoby. Mimo jawnego niebezpieczeństwa i tym jeszcze razem zabrał okręt cały transport szaleńców.

W ten sposób traktowała zawsze i traktuje dzisiaj żywoty ludzkie spekulacya wszelka. Niech ginie człowiek—niech giną tysiące ludzi, byle roznamiętniony tłum złożył daninę niesytej nigdy chciwości.

Chcąc zrozumieć cały hazard podobnej wyprawy, trzeba najprzód dowiedzieć się, że jadący na poszukiwanie złota do Alaski musi zabrać ze sobą prowizyi na cały czas przewidywanego pobytu, gdyż niema żadnej możności odnowienia tych zapasów na miejscu. Nadto potrzebne są do przewiezienia tego ładunku zwierzęta pociągowe, waga bowiem samych artykułów spożywczych dla jednego człowieka na czas kampanii wynosi po ścisłych obliczeniach 524 kilo (1,300 do 1,400 naszych funtów) nie licząc narzędzi i sprzętów, które ograniczone do najniezbędniejszych stanowią także jakieś 100 kilo. Dodajmy do tego paszę dla koni, a będziemy mieć przybliżone pojęcie o rozmiarach obozów, jakie tworzyć muszą emigrujący, i o kosztach, jakie to przedsięwzięcie za sobą pociąga. O tych, którzy dali uwieść się i przybyli przed zimą, mówić nie będziemy, bo to byłby jeden szereg obrazów pełnych grozy niezrównanej, to byłyby epizody z życia rozbitków przeznaczonych na zagładę. Ci, którzy przybywają na miejsce w porze wiosennej, to jest najwłaściwszej, mają i tak do przezwyciężenia potężne trudności, przebywając kraj skalisty pełen przepaści, w których człowiek i zwierzę po sto razy na dzień narażony jest na skręcenie karku. Wszyscy zdążają byle do jezior — byle do tej pożądanej komunikacyi wodą, która ma być kresem trudów i niebezpieczeństw wszystkich. Nie kończą się one jednak i tutaj jeszcze bynajmniej. Teraz przychodzi znowu zbudować jakiś statek przewozowy, bo gotowych do nabycia niema, i każdy poszukiwacz złota musi najprzód zboczyć od jezior, blizko których niema lasów, a dostawszy się tam, ściąć drzewo i porżnąć je na deski dla zbudowania tratew. Tę ostatnią przysługę oddadzą mu już miejscowi ludzie, którzy za przygotowanie desek potrzebnych na tratwę biorą 70 dolarów.

Nie mało tedy, jak widzimy, trzeba wyłożyć pieniędzy i trudów, żeby się dobić do owej złotodajnej krainy.

Liczebnie biorąc, takie były losy 6,000 emigrantów przybyłych do Skagway z końcem lata 1897 roku: Około 200 ludziom udało się dotrzeć do Dawson, 700 próbowało przejścia przez Chilcoot. Blizko 1,000 zmuszonych było obozować przez zimę nad jeziorem Benneta, a reszta oprócz 1,500 pozostałych na wybrzeżu, ogołocona ze środków powróciła do Stanów Zjednoczonych, niedokazawszy niczego i nie zażywszy nic więcej, oprócz trudów niesłychanych.

Mówiąc o braku środków, powiedzieć wypadnie kilka cyfr dotyczących cen artyku-

łów spożywczych w tych siedliskach górników. Są to ceny najzupełniej fantazyjne z pozoru, a mimo to autentyczne. W Dyea i Skagway za cukier i sól płaci się od 15 do 25 franków za funt angielski. Za takąż wagę groszku (haricot, rozumie się w konserwach) 20 franków, mleko i mąka 30. Najskromniejszy obiad nigdy nie bywa tańszym jak 8 dolarów (12 rubli). Wołowina stosunkowo najmniej droga, bo wół odbywa podróż na własnych nogach i dlatego funt tego mięsa kosztuje tylko 5 franków. Handlarze wołów muszą zresztą ograniczać swoje wymagania, bo tonna furażu dla bydła płaci się tutaj 325 franków. Opowiadają też, że jeden ze starych górników przywiózł tu na spekulacyę 12 butelek jakiegoś sosu do potraw, zwanego „Worcester Sauce". Lichota produktów spożywczych nadawała tej przyprawie wykwintnej szczególną wartość. To też smakosze płacili wyzyskiwaczowi po 5 franków za łyżeczkę od kawy tego kordyału. Ale nie można się dziwić niczemu w kraju, gdzie zbywający od własnych potrzeb sprzedającego worek mąki, wagi od 100 do 120 funtów zapłacono pewnego razu w potrzebie 5,000 franków. Tak przynajmniej mówią dzienniki amerykańskie.

Jak to już wzmiankowaliśmy, przyczyną tej drożyzny niezmiernej jest to, że zapasów żywności odnawiać tutaj nie można. Ziemia tam, gdzie położenie robi ją do uprawy zdatną, jest bogata i daje w lecie wegetacyę niesłychanie bujną, ale na produkcyę zbóż klimat Alaski nie pozwala wcale. Można wprawdzie na południu samym uprawiać warzywo takie, jak groszek, soczewicę, marchew i jakiś gatunek kartofli o krótkim okresie wegetacyjnym, ale pod koniec samego peryodu dojrzewania nastaje pora deszczów, udaremniająca zbiory. Wszystkie też warunki gleby i klimatu składają się na to, że przez ludność cywilizowaną zakątek ten ziemi stale nigdy zamieszkiwanym być nie może. To co tutaj chwilowo napływa, to, jak wiadomo, szumowina wszystkich krajów i wszystkich społeczeństw. Jest tam niby jakaś parodya trybu życia narodów oświeconych, ale to w istocie parodya tylko. W Sitka i Juneau, które są dwoma centrami zaludnienia, znajdują się trzy kościoły, tyleż szkółek, dwa teatry i kilka dzienników, które naturalnie przedrukowują wszystko, co tutaj peryodyczna prasa w porze letniej ze świata cywilizowanego przyniesie. Za to tawern, szynków szulerni, jaskiń zepsucia w najgorszym gatunku—pełno, bo wreszcie wiadomo to powszechnie, jakie życie prowadzą wszyscy poszukiwacze złota. Juneau najbliższem jest placerów; posiada przytem młyny do mielenia złotodajnego minerału. Nigdzie, jak twierdzą ludzie świadomi rzeczy, mustyki nie są taką plagą dla ludzkości i zwierząt jak w Klondyke. W dolinie Youkon znajdywano zdychające niedźwiedzie, którym ten owad zacięty powyjadał oczy i tem je doprowadził do stanu zupełnej niemocy. Krajowcy tych stron są to Indyanie, nie licząc tych, którzy przybywają z północy i należą do plemienia Eskimosów. Co do tych pierwszych, to jest Indyan, wszystko naprowadza na myśl, że są pochodzenia azyatyckiego. Wierzą oni w nadprzyrodzony początek człowieka, mają tradycye potopu i przechowania się rodzaju ludzkiego, dzięki ocaleniu od tego kataklizmu jednej pary ludzkiej. Wrona, w której mieszka Jehl czyli Wielki-Duch zaprowadziła ocalonych gdy opadły wody, na szczyt góry Edgecumbe, i ztamtąd ci dwoje dali początek ludzkości dzisiejszej. Ta wrona jest też tu stworzeniem świętem, i biada temu, ktoby się ośmielił zabić lub ranić jedną z nich. Starców swoich za to zabijali dotąd zawsze pomiędzy sobą ci Indyanie bez najmniejszego skrupułu, a nawet dotąd podobno praktykują ten ohydny obyczaj. Są nieporządni jak wszystkie ludy dalekiej północy, ale mówią że z tamtej strony Sitki żyją jakieś pokolenia odznaczające się holenderską czystością w ubraniu i po mieszkaniach. Ci, rozumie się, są pod każdym względem cywilizowańsi.

Oto szkic warunków, w jakich żyje na Alasce ludność mięszana, napływająca tutaj dla poszukiwania złota. Szczegółów o życiu wewnętrznem tych mass rozszalałych żądzą zbogacenia się, opisywać oczywiście niema co, boć to wszystko tylko zaprzeczenie żywe temu, co ludzkość przez wieki wypracowała dla siebie, jako dogmat cywilizacyjny i wskazanie obyczajowe. To też nikt zdobyczy takich jak odkrywanie ziem złotonośnych nie uważa dzisiaj inaczej, jak za nową klęskę zadaną ludzkości, i za tamę na drodze do prawidłowego rozwoju uczuć ogólno ludzkich.

K.

Z za rzek i mórz.

Zgony tak nieoczekiwane przez nikogo, a tak tragiczne, jakim był zgon cesarzowej Elżbiety, mają to do siebie, że radzi w nich zawsze prawie ludzie dopatrywać jakiejś ręki ciążącej fatalności, jakichś nieodgadnionych wyroków domierzających się na rodzie, do którego takie ofiary należą. Tak też ma miejsce i w wypadku danym. Przy tej sposobności przypominano sobie z historyi drugiej połowy tego stulecia wszystkie samobójcze i nagłe śmierci, zaszłe w obu książęcych rodzinach Wittelsbachów i Habsburgów, i w istocie ułożono z nich kronikę żałobną niezwykle bogatą liczebnie, jak na okres pięćdziesięcioletni, i niezwykłym tragizmem zdumiewającą.

Oto co w tym względzie zebrała „Frankfurter Zeitung," a wszystko to są same epizody niedawnej daty, epizody zarysowane głęboko w pamięci ludzi współczesnych średniego wieku.

I tak rok 1867 upamiętniony jest śmiercią arcyksięcia Maksymiliana, rodzonego brata cesarza Franciszka Józefa, rozstrzelanego za wyrokiem sądu wojennego złożonego przez rząd republikański w Meksyku. Arcyksiążę Toskański Jan, który przybrał nazwisko Jana Orth, zrezygnowawszy poprzednio ze wszystkich przywilejów swojego stanu, zaginął bez wieści wraz ze statkiem i załogą swoją, jak się zdaje, na wodach południowej Ameryki. Arcyksiążę Władysław zabity na polowaniu z własnej broni. Młoda księżniczka z domu Habsburskiego, córka arcyksięcia Albrechta feldmarszałka armii austryackiej, zginęła w płomieniach wznieconych zapałką w pałacu cesarskim. Król bawarski Ludwik II, blizki krewny cesarzowej Elżbiety, głośny w świecie całym ze swoich upodobań i dziwactw artystycznych, kończy okropnie rozstrojone życie swoje topiąc się własnowolnie w jeziorze Starnbergskiem. Książę Neapolitański mąż księżniczki Bawarskiej odebrał sobie życie w Zurichu w Szwajcaryi. Na rok 1889 przypada zagadkowe po dziś dzień zabójstwo czy samobójstwo arcyksięcia Rudolfa następcy tronu, w Majerlingu pod Wiedniem. Siostra cesarzowej księżna d'Alençon poniosła, jak wiemy, śmierć w pożarze paryzkiego bazaru dobroczynnego w r. 1897. Dodawszy do tych wszystkich nagłych zgonów, ostatni jaki dotknął cesarzową Austryi w bieżącym miesiącu w Genewie, trudno się dziwić, że w tem wielkiem żniwie śmierci spowinowaconych rodów monarszych jest coś nadzwyczajnego — coś, co mimowoli nasuwa myśl o jakichś tajemniczych dekretach zapadających przed trybunałami zaledwie przeczuwanymi przez umysł człowieka. W każdym razie pouczające jest bardzo to wszystko, choćby ze względu na nicość wszelkiej potęgi ziemskiej, która nie jest ideą i na kruchość tego, co ludzkość nawykła uważać za trwałe i niepożyte. Grobami jesteśmy i po grobach stąpamy wszyscy — wieczną jest tylko idea jedna.

Niemcy zajęte są w tej chwili niezmiernie pogrobowym pomrukiem swojego nadczłowieka, zmarłego w Fridrichsruhe. Tu, co prawda, o idei mowy już być nie może, i nikomu też ona nie przyjdzie na myśl, kto urywkami czy w całości odczytywać będzie rewelacye p. Buscha, niegdyś powiernika i kondotjera literackiego na służbie niemieckiego kanclerza. Niemcy szczególnie są pod tym względem niekonsekwentni, przyznać im to należy. Te kartki pełne drażliwych odkryć ujemnie dosyć wypadają dla sfer najwyższych — zdradzają one tych sfer przeciętne i niższe od przeciętnych ogólno-ludzkie słabostki, zdradzają przytem porywczość, zapalczywość, brutalstwo i do śmieszności posunięte wysuwanie przed wszystko i po nad wszystko własnego „ja" ze strony tego pieniacza za życia i po śmierci, a mimo to rozchwytywane są w Niemczech. Miłe Niemcom te sfery, których powaga wyjdzie niewątpliwie z tych pośmiertnych wspomnień mocno nadszarpaną, a urok otaczający je rozwiany — mają oni równie za sympatyczną tę odrażającą postać zmarłego ex-kanclerza, która jest przedmiotem słusznego wstrętu całej cywilizowanej ludzkości, a mimo to, aż huczy u nich od tej wrzawy, która się z publikacyi Buschowskiej podnosi. Chyba im się musi wydawać, że i to jeszcze posłuży ku tem większej chwale ducha germańskiego. Jeśli tak myślą, to mylą się niesłychanie. Nikomu ze stron spór wiodących, walka ta sławy i honoru nie przymnoży, a takie to osobiste, takie przepełnione namiętnością i wybuchami!

Skoro już o wybuchach mowa, nie możemy pominąć wybuchów, które życiu i mieniu ludzkiemu o wiele więcej zagrażają, niż wybuchy gniewu nieżyjącego kanclerza Niemiec. Chcemy tu mówić o Wezuwiuszu, który

tym razem nie na postrach tylko swawolić zaczyna. Powiadają, że po zniszczeniach, które sprawił ten wulkan w roku 1872, nie pamiętają ludzie obfitszego rozlewu law, jak te, które mają miejsce obecnie. Winnice, pola, lasy blizkie, wszystko to jest w niebezpieczeństwie, a nawet mówi się już o tem, że w zwierzętach będą znaczne straty, bo nie wszystko daje się ocalić w takim razie. O ocaleniu budowli, stojących w promieniu objętym klęską przewidywaną dzisiaj, mowy nawet niema, a nawet na słynne obserwatoryum, w którem włoski astronom Palmieri dokonał większości swoich odkryć, patrzą Włosi jako na stracone. Oprócz krateru środkowego, który głównie jest czynnym, utworzyło się kilka kraterów pobocznych na stoku północnym. Jednem słowem, nieszczęśliwym Włochom nie chce los żadnej klęski oszczędzić.

X.

Robert Grant.

Klub Kawalerów.

tłómaczyła E. L.

Klub kawalerów istniejący w New-Yorku, został zredukowany do dwu członków. Byli nimi: Ben Davis i Horacy Wilson. Inni pożenili się lub pomarli, a raczej ściśle mówiąc, umarł jeden tylko, biedny Tomasz Cook, dwunastu zaś włożyło na siebie słodkie więzy małżeńskie. Nie zaznaczono nawet żadnego rozwodu, choć z drugiej strony ten wypadek nie był przewidziany w ustawie.

Stowarzyszenie istniało od lat 12 tu i zawdzięczało swój początek kilku wyrazom wymówionym od niechcenia przez Harry'ego Stephenson'a, w czasie wspólnego obiadu w klubie.

— Ciekawym też—rzekł—który z nas ożeni się pierwszy.

— Albo ostatni—rzekł Ben Davis.

— A który zostanie kawalerem—dodał Horacy Wilson.

Zaczęto żywo dysputować w tej kwestyi, i zawyrokowano jednozgodnie, że małżeństwo jest instytucyą chylącą się do upadku, i że dziś nikt, nie będąc Krezusem, nie jest w stanie się ożenić. Nagle Jerzy Edmunds, który dotychczas palił cygaro w milczeniu, uderzył pięścią w stół.

— Chcę wam coś zaproponować—rzekł.

Jerzy Edmunds odznaczał się zarówno bujną wyobraźnią, jak i zmysłem praktycznym w interesach. Powieściopisarz z zawodu, w wolnych chwilach wynalazł korkociąg i maszynkę do skrobania kartofli, na które otrzymał patent wynalazku, co przynosiło mu rocznie okrągłą sumkę. To też projekty jego zwykle były przyjmowane z uznaniem.

— Jest tu nas dziś piętnastu — ciągnął dalej — a między najstarszym i najmłodszym niema więcej nad dwa lata różnicy. Czy nie moglibyśmy zawiązać klubu kawalerów?

Zatrzymał się, badając, jakie wrażenie słowa jego wywarły na zebranych. Niektórzy się uśmiechali, jakby aprobując myśl rzuconą, ale widocznem było, że nikt nie wiedział, do czego Jerzy prowadzi. Chcąc wywołać wyjaśnienie, Ben Davis, który miał zapewne w pamięci maszynkę do skrobania kartofli, zapytał:

— Czy możemy mieć z tego jakie dochody?

— Posłuchajcie—mówił Jerzy. — Piętnastu członków, płacących rocznie po 25 dolarów, ponosić będzie jedynie koszta obiadu, wydawanego corocznie 1 Stycznia. Ten, kto wytrwa na stanowisku, zabierze wszystko. Jeżeli pieniędzmi składanemi będziemy obracali umiejętnie i tak wytrwale walczyli przeciw małżeństwu, jak obiecujemy, to ostatni otrzyma ładną sumkę.

Rozległ się szmer ogólnej aprobacyi.

— Doskonała myśl! - zawołał Stephenson — wprowadźmy ją niezwłocznie w wykonanie.

— Tak, zróbmy to! — odezwało się wiele głosów.

— Ale przypuśćmy, że będzie kilku tych ostatnich, którzy dotrwają do końca — zaprotestował Ben Davis. — Trzebaby oznaczyć ściśle termin, po którym ci, co wytrwają na stanowisku, podzielą się kapitałem.

Uznano tę uwagę za bardzo rozsądną i zgodzono się, że po upływie lat 20-tu pieniądze zostaną podzielone równo między pozostałych.

Jeszcze tegoż wieczora ustawa stowarzyszenia zredagowana przez Jerzego Edmunds'a, została przeczytaną zebranym. Zaczynała się ona od słów: „My niżej podpisani kawalerowie, tworzymy spółkę w celu wzajemnej ochrony naszej swobody przed instytucyą małżeństwa i t. d., i t. d." Wynik był taki, że klub kawalerów zobowiązywał się za zgodą wszystkich członków wydawać corocznie 1-go Stycznia obiad, który miał się odznaczać ilością i doborem potraw, i napojów, a nadto rzeczony klub miał obdarzyć tego czy tych, którzy będą najwierniejsi ustawie Towarzystwa, kapitałem, zebranym od daty pierwszej składki, aż do ostatecznego zlikwidowania spółki.

Wszyscy się podpisali, poczem posypały się gorące protestacye w kwestyi małżeństwa. Sądząc z poglądów wspólników, zdawało się zupełnie prawdopodobnem, że po 20-tu latach kassa stowarzyszenia zostanie rozdzielona w równych częściach pomiędzy 15 jego członków. Średni ich wiek był lat 25, żaden nie miał mniej nad 24, ani więcej nad 26. To też termin 20letni zdawał się zupełnie odpowiedni. Kawaler 45-letni bezwątpienia może już sam czuwać nad sobą i obejść się bez opieki Związku.

Stowarzyszeni podpisawszy ustawę, wybrali na swego prezesa, sekretarza i kasyera w jednej osobie Jerzego Edmunds'a. Obowiązki jego były następujące: miał on zapraszać członków na obiad coroczny, zaznaczać opóźnienie w płaceniu składki, wykreślać tych, którzyby żeniąc się, wypadli ze stanu łaski, rozciągać ogólną pieczę nad sprawami Towarzystwa, a w szczególności obracać umiejętnie jego kapitałem. Po zdolnościach kasyera spodziewano się jakiejś nadzwyczajnej dywidendy. Rozumie się, że nie można było ryzykować kapitału; chodziło więc o wyszukanie dla niego lokacyi zupełnie pewnej, a przytem dającej dobre dochody. Członkowie nie wątpili, że kasyer nie zawiedzie położonych w nim nadziei.

Czy pogawędka owego wieczoru była tylko czczą gadaniną czy też niektóre z tych serc męzkich mimowiednie nosiły już w sobie zaród skłonności do życia rodzinnego, dosyć że czterech z 15-tu stowarzyszonych sprzeniewierzyło się pozostałym, opłaciwszy zaledwie dwa razy składkę roczną. Młoda i piękna kreolka z Antyllów była przyczyną pierwszej dezercyi. W czasie wspaniałego obiadu wyprawionego z tego powodu, wypowiedziano kilka mów o potrzebie ostrożności. W ciągu następnych trzech miesięcy — najwidoczniej ci, którzy wygłaszali najognistsze flipiki przeciw małżeństwu, myśleli już o niem na seryo — drugi, trzeci i czwarty stali się podług wyrażenia innych członków „ofiarami:" młodej wdówki obdarzonej dwojgiem aniołków—ładnej laleczki złotowłosej—i powabnej, energicznej brunetki. Pozostali ścisnęli szeregi i z niepokojem spoglądali po sobie. Któż pierwszy teraz ulegnie? Mieli przynajmniej tę pociechę, że dla każdego podniosła się szansa zyskania kapitału, powiększonego w dwójnasób przez korzystne nabycie akcyi kopalni złota.

Przez następne dwa lata Towarzystwo poniosło tylko ubytek wskutek śmierci Tomasza Cook'a. W tymże czasie zupełnie niespodziewanie Harry Stephenson zakochał się szalenie w dziewczęciu, nie odznaczającem się niczem i nie mającem grosza posagu— i ożenił się. To zrobiło na towarzyszach wielkie wrażenie, gdyż Harry należał do najmętnych przeciwników małżeństwa. Co najgorsza, przykład jego oddziałał demoralizująco na Williama Hardy, i zniweczył w nim wszelkie usiłowanie oporu—tym sposobem na piątym dorocznym obiedzie zaledwie ośmiu członków trąciło się kieliszkami, i wzniosło zwykły toast na cześć życia kawalerskiego.

Nazajutrz jeden z tych ośmiu oznajmił o swych zaręczynach z szesnastoletnim podlotkiem. Ta zdrada oburzyła pozostałych, którzy uroczystym aktem wyrzekli się swego towarzysza, i kopię tego aktu przyłączyli do kosza kwiatów, który posłali narzeczonej. Pociechą w tem strapieniu był szczęśliwy obrót kapitału. Kasyer istotnie dokonywał cudów. Sprzedawszy akcye kopalni złota z niesłychaną nadwyżką, umieścił otrzymaną summę w Towarzystwie kopalni nafty, które zaraz wypłaciło 50 procent dywidendy.

Po tych wypadkach upłynęło znowu bez zmiany półtrzecia roku. Następnie w przeciągu trzech miesięcy miały miejsce trzy przeniewierstwa, i na dziesiątym obiedzie dorocznym obecni byli tylko: Jerzy Edmunds, Benjamin Davis, Horacy Wilson i Roger Patridge. Ten ostatni znany ze swej łysiny i przywiązania do stanu bezżennego, był tak melancholijnie nastrojony i zatopiony w myślach, że zwróciło to uwagę towarzyszy. Prezes-sekretarz kasyer przywołał go do porządku z taką surowością, że biedak zaczerwienił się aż po miejsce, gdzie niegdyś istniały cebulki włosowe.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA.

Dobroczynność.

W ubiegłym tygodniu w V wydziale sądu Okręgowego otwarto testament ś. p. Maryi Laury hr. Ostrowskiej zmarłej w rodzinnych dobrach Tomaszowie dnia 8 b. m. Nieboszczka pozostawia legat 6,000 rs. na cele dobroczynne bez wyszczególnienia instytucyi, pozostawiając jej wybór rodzinie.

Ogólna liczba starców i kalek pensyonarzy utrzymywanych przez Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności wynosi 652 osoby. Towarzystwo na ostatniem zebraniu uznało za konieczne podwyższenie dla nich racyi mięsa z $^3/_8$ na $^1/_2$ funta.

Pozostający pod opieką Towarzystwa przytułek dla rzemieślników, który mieści się za rogatkami Wolskiemi przy ulicy Młynarskiej, i daje dotąd schronienie 15 pensyonarzom, będzie znacznie powiększony. W tym celu ze specyalnych funduszów instytucyi wystawiony być ma obszerny dom frontowy dla 50 pensyonarzy tej kategoryi, umieszczanych tamże na koszt zakładów fabrycznych, zgromadzeń rzemieślniczych, albo instytucyj dobroczynnych.

Rezultat pieniężny wystawy retrospektywnej krajowego malarstwa, po obrachunku ostatecznym okazał się zadawalniającym. Przychód wyniósł 9,216 rs., rozchody 5,621, ostatecznie tedy zyskują biedni na tej robocie 3,000 rs. z górą, nie licząc korzyści ubocznej, za jaką uważać należy zapoznanie się ogółu z przeszłością sztuki w naszym kraju.

Pogotowie ratunkowe.

W dniu 22 b. m. odbyło się pod przewodnictwem prezesa Gustawa hr. Przezdzieckiego posiedzenie zarządu tej instytucyi. Odczytano na niem sprawozdanie z działalności pogotowia za czas ostatnich trzech miesięcy, i z niego dowiadujemy się: że wezwań o ratunek było 355 w Czerwcu, 420 w Lipcu i 480 w Sierpniu.

Że dochody w ciągu tego kwartału wyniosły 6,969 rs. a wydatki 7,210 rs.

Że w tym czasie kolej Wiedeńska ofiarowała na rzecz pogotowia 300 rs., Towarzystwo Gazowe 200 rs., wyjęto z puszek rs. 873, a Magistrat wypłacił subwencyi 5,000 rs. Okazuje się konieczność zakupienia czwartego wozu ratunkowego.

Wynalazki i spostrzeżenia naukowe.

P. Z. Karosteński literat zamieszkały we Lwowie złożył do oceny wydziałowi optyków i mechaników w Pradze zbudowaną przez siebie maszynę do pisania. Jak zapewniają sprawozdawcy dziennikarscy, przyrząd ten niepodobny jest do żadnej z istniejących obecnie maszyn. Zamiast klawiatury użył tu wynalazca skazówki; siła poruszająca i umieszczenie papieru także odmienne zupełnie. Powiadają, że ciemni z pomocą alfabetu przeznaczonego dla nich, i jakiegoś przyrządu akustycznego, będą mogli pracować na tych nowych maszynach, a nietylko ciemni, ale i pozbawieni władzy w rękach, co im umożliwiają odpowiednio do tego zastosowane pedały.

Leczenie wścieklizny w górnym Egipcie polega na smarowaniu całej powierzchni ciała człowieka ukąszonego przez wściekłe zwierzę, maścią z roztartego mlecza pacierzowego tego zwierzęcia. Beduini zamiast tego środka zalecają użycie na pokarm wątroby także tej samej sztuki wściekłej. Charakterystycznem jest w tej sprawie, że na całym prawie globie ziemskim panują przekonania, iż ratunku przeciw jadowi wścieklizny szukać należy koniecznie w organizmach zwierząt, które ten jad zaszczepiły.

Asymetryą obu połów ciała ludzkiego zajmował się Crosier. Z obserwacyi jego wynika, że w $^4/_5$ badanych przypadków, przeważnie zaś u kobiet, zauważyć się dają pewne stałe zboczenia, polegające na obniżeniu prawej łopatki, odpowiedniego zboczenia klatki piersiowej, zboczenia kręgosłupa, obniżenia i skrócenia odpowiedniej kończyny dolnej. Wszystkie te anormalności występują zawsze jednocześnie, więc prawdopodobnie są one następstwem tych samych przyczyn.

Nowy sposób konserwowania mięsa podaje zoolog Duński Fjelstrap, ten sam, który dał się poznać przez otrzymanie stężonego mleka bez cukru. Poleca on baczyć przy zabijaniu zwierząt, aby mózg pozostał nienaruszonym. Natychmiast po zabiciu odcina się jedną komorę serca, aby wypuścić wszystką krew, co ma nader ważne znaczenie, i za pomocą pompki przez drugą komorę zrobić injekcyę soli kuchennej we wszystkie żyły. Koncentracya roztworu zależy od czasu, przez jaki pragniemy przechować mięso. Cała operacya z jedną sztuką trwa zaledwie kilka minut. Sposób ten stosowany jest w Danii z zupełnem powodzeniem od trzech miesięcy.

Sprawy miejskie.

W dniu 25 b. m. otwarto w Warszawie pięć nowych szkół miejskich jednoklasowych. Zapisy terminatorów do tych szkół odbywać się będą w każdą Niedzielę, aż do chwili, w której wszystkie miejsca wakujące zostaną obsadzone. Aby całe miasto skorzystać mogło zarówno z tych kilku szkół nowych rozmieszczono je w różnych dzielnicach, a mianowicie 2 na Solcu i po jednej na ulicach: Twardej, Żelaznej i Sapieżyńskiej.

Pożądane pole dla lokacyi kapitałów miejscowych otwarła decyzya magistratu zapadła na ostatniem posiedzeniu dotyczącem sprawy tramwayów. Uchwała mówi o zrzeczeniu się przez magistrat eksploatacyi tramwayów na własny rachunek po odebraniu tego przedsiębiorstwa z rąk kapitalistów belgijskich, a natomiast projektowanem jest ogłoszenie konkurencyi ograniczonej na wydzierżawienie tego prawa, z zastrzeżeniem kontroli ze strony zarządu miejskiego.

Tłómaczą przedsiębiorcy budowy domów wszystkim utyskującym na częste wypadki śmierci wśród ludności pracującej, że to nie bezpieczeństwo zmniejszyło się bynajmniej, ale mnożenie się wypadków zostaje w stosunku prostym do zwiększonego ruchu budowlanego i że to inaczej być nie może. Choćbyśmy chcieli uwierzyć, że to tak jest a nie inaczej, każdy fakt nowy wydaje nam się jednako smutnym, tak samo godnym pożałowania, i coraz bardziej wołającym o obostrzenie środków ostrożności, a tem samem o większe dla ludzkiego życia bezpieczeństwo. Oto znowu na ulicy Długiej, na terytoryum dawnej posesyi teatrzyku Eldorado, obsunęła się ściana murowana na robotników kopiących fundamenta u jej spodu. Dwóch z pomiędzy nich wyszło bez szwanku, ale dwóch poniosło śmierć na miejscu.

Nowe książki

NADESŁANE REDAKCYI „TYGODNIKA."

Nakładem firmy Gebethner i S ka w Krakowie:
Z. Przybylski: Z rozwoju polskiego teatru. Antonina Hoffmanowa.

Nakładem firmy J. Fiszera:
M. Dzierżanowska: Krótka Gramatyka Polska.
S. Orgelbranda: Encyklopedya Powszechna do zeszytu 48.
M. Arcta: Encyklopedya Illustrowana do zeszytu 32.
Plato v. Reussner: Samouczek francuzki, zesz. IV.

Wskazówki i rady.

Budyń z kapusty włoskiej.

Jedną średnią główkę włoskiej kapusty poszadkować, sparzyć i zblanżerować, to jest lekko zagotować i wycisnąć z wody. Ćwierć funta szynki gotowanej posiekać, ćwierć funta masła, 4 całe rozbite jaja, jedną pieczoną siekaną cebulę, 4 łuty tartej bułki, trochę pieprzu i soli do smaku. Wszystko to razem dobrze wymięszać, włożyć w formę masłem wysmarowaną, wysypaną bułką i wstawić w rondel z gotującą wodą na dwa palce wysoko. Budyń czyli formę przykryć pokrywą i gotować jak zwykle się budynie gotują, pół godziny albo trzy kwadranse, stosownie do wielkości, dolewając ciągle gorącej wody, w miarę wygotowania się. Podaje się zamiast jarzyny na trzecią potrawę, jest smaczne i bardzo podzielne.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

W na J. Stan. Maison Phoenix Niecała 12 udzieli objaśnień.

Prenumeratorce z Będzina. Geografia Anny Nałkowskiej, albo inna ze zbioru dzieł Augusta Jeske, wydaw. Arcta. Botanika Zaleskiej albo Fizyologia roślin Hajlperna. Do autorki przepisów odnieśliśmy się— po otrzymaniu żądanego przez Sz. P. zakomunikujemy go niezwłocznie.

SPROSTOWANIE.

W numerze 39 pod znakiem „Wskazówki i rady" zamiast *śliwka* czytaj *oliwka*.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Сентября 1898 г. Warszawa Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca Jan Skiwski.

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

— Dahlman — powtórzył kapelan, upuszczając powoli jedna za drugą głoski bankierowego nazwiska i opierając na czole palec na znak głębokiego zastanowienia.

— Dahlman — rzekł ponuro Sokolnik, i ze swojej strony w myślach utonął.

Tegoż samego wieczora, jakby czarodziejskiem zaklęciem wyzwany, zjawił się w pałacu Johan Fryderyk Gottlieb Dahlman, pierwszy pieniężnik na połączone królestwa Galicyi i Lodomeryi.

Przyjechał ulubieniec fortuny; niespodzianemi odwiedzinami wszystkich zadziwił, zwłaszcza zaś domysłom gospodarza domu szerokie pole otworzył.

Sokolnik, jako biegły stratega, jednym rzutem oka rozpoznał swoje położenie.

Natychmiast więc zajął jak najkorzystniejsze stanowisko, otoczył zasadzkami przeciwnika, ze wszech stron przypuścił szturm i otworzył ogień.

Nigdy służba pałacowa nie lśniła od tylu złocistych galonów, nigdy stół nie uginał się tak dalece pod ciężarem starych familijnych sreber, nigdy pan domu nie opuszczał tak często towarzystwa wyzywany głośnemi o posłuchanie prośbami intendentów, komissarzy, koniuszych, łowczych, nadleśnych.

Marszałek dworu, z głębokim ukłonem zwiastował co chwila nowego z pańskiej służby urzędnika; raz nawet Sokolnik, wobec bankiera, pozwolił sobie przyjąć ober-intendenta Lumpmana, i na schyłku nieznacznej pogawędki, z niechcenia kazał mu polecić kassyerowi wypłatę dwustu dukatów za parę angielskich koni do karety pani hrabiny.

Sokolnikowa tymczasem, wskutek poleceń męża, pilnie wypytywyła gościa o zdrowie ukochanej jedynaczki, pod niebo wynosiła wdzięk jej ułożenia i powierzchowne zalety.

Dahlman w kilka godzin po przyjeździe wręcz otrzymał przestrogę, żeby się dzierżył na ostrożności; gotowano przeciw niemu mały spisek. Hrabina z tajemniczym uśmiechem poglądała po mężu; bankier zadrżał i mimowolnie schwycił za kieszeń, a swoją drogą kręciło mu się w głowie. Uderzały mu na mózg wonie, jakie z wyherbowanej starej kadzielnicy nieustannie dymiły pod stopami syna ubogiego kramarza z Salzburga. Rozlechtana, chełpliwa duma tłumiła w nim wrzaski wierzycielskich roszczeń; poił się nektarem subtelnych pochlebstw, wspierał z niechcenia na ramieniu, które mu dygnitarz z poufałą przyjaźnią podawał, rozciągał się w krzesłach, głośniej niż zwykle przemawiał—zwyczajnie, jako człowiek z wielkiego świata, umiejący w każdem towarzystwie o sobie zapominać. Czasami tylko, skutkiem dawnego nałogu, za puszczał rękę w kieszeń i pobrzękiwał pieniędzmi.

Brzęk ten sprawiał na Sokolniku dziwnie nieprzyjemne wrażenie.

Noc wydzwaniała późne godziny. Bankier, po długiej podróży i całodziennych wzruszeniach, potrzebował wypoczynku. Gospodarz domu, poprzedzany przez lokaja z srebrnym w ręku świecznikiem, odprowadził gościa do sypialnej komnaty, pożegnał serdecznym uściskiem dłoni i kilkakrotnemi życzeniami błogiego snu.

Podróżny znalazł się w pokoju, który co do wykwintu, bogatych sprzętów, drogich obrazów i tysiąca kosztownych drobnostek, w książęcym pałacu pierwsze mógł trzymać miejsce. Bankier z uśmiechem zatarł ręce, odesłał służącego, i wprzódy, nim legł na spoczynek, ze świecą w ręku puścił się w szczegółową pielgrzymkę około swej sypialni.

Wykrzykniki polskie, a częściej jeszcze rzucane w rodzinnem niemieckiem narzeczu, świadczyły o natłoku przepełniających go wrażeń. Wkrótce atoli myśl jego na nowe wybiegła szlaki.

Dahlman wydobył z kieszeni pugilares z pieniędzmi i z wartościami, postawił na krześle tuż obok łóżka podróżną swoją szkatułkę, otworzył ją i zatrzymał wzrok na starannie poukładanych w niej papierach.

Większa część tyczyła się kapitałów powierzonych Sokolnikowi.

W długich szeregach ściśnięte cyfry, przesuwały się kolejno przed oczyma bankiera, świadcząc o ciężkiem brzemieniu hypotecznych dygnitarza grzechów. Za hufcami głównych summ, wlokły się płodne procentowe ciury, z głową zaledwie wysuniętą naprzód, z resztą ciała w bezmiar gdzieś zaprzepaszczoną. Każdemu z tych orszaków przywodził właściwy wódz wierzyciel, zazwyczaj z izraelsko-germańskiem nazwiskiem—wszyscy zarówno rozsrożeni na ofiarę wyprawy, każdy atoli, walecznik na swoją tylko rękę, zażarty jednako na poboczników i na wroga.

Dahlman niespokojnym wzrokiem zatoczył po placu boju.

Po obu skrzydłach własnych jego, ciężkich rot hypotecznych i lekkiej, a na zgubę Sokolnika zawziętej wekslowej jazdy, czerniły się tłumy towarzyszów jego łatwowierności, pouzbrajanych w urzędowe skrypta, w doręcze rewersa, w pozwy wyostrzone na niedotrzymanych zobowiązaniach, podczas gdy ostatni zasłaniali się niby szańcem, pochwytanemi w zastaw włościami.

Jakież były środki obrony przeciw strasznym tym przygotowaniom do napadu?

Dahlman pogrążył rękę na dno szkatuły, i wyciągnął wykaz hypoteczny, pomnożony własnemi uwagami i doniesieniami swoich powierników.

Biada, biada zwyciężonym! Ze strony magnata nie było ani możebności, ani nadziei odporu. Los, wsparty powagą prawa, przeznaczał go na rozszarpanie. Za pierwszą zaczepką najezdniczej hordy darł się w szmaty znakomity niegdyś dostatek.

W podobnym stanie rzeczy, cóż miał począć główny wierzyciel?

Poprzestać na układach dłużnika, na poufałych uściskach dłoni?—w zamian za kadzidło czczych pochlebstw rzucić mu część własnego a krwawą pracą zyskanego grosza, cieszyć się marną przyjaźnią Sokolnikowej, układnem obejściem hrabiego, dać się oszukać powierzchownym blaskom fałszywych bogactw, wówczas, gdy pierwszy lepszy lichwiarz będzie mu rwał pod bokiem drogie kawały ziemi?...

Magnat urosł we wziętość nie gwoli nazwisku i dworskim zaszczytom, ale dzięki rozgłosowi o swoich dostatkach. Dziś rzeczy się zmieniły. Wystawiano na sprzedaż przepych, a z nim i powagę, jaką błyszczał Sokolnik. Ratować go było niepodobna, zamiast więc względów bezużytecznych dla skazanego na stracenie, rozum radził niewzbraniać przystępu tym środkom, z jakimi bliskiemu niebo szczykowi tak dobrze było na świecie.

Bankierowi podobała się pozostałość po dygnitarzu, rozważył w myśli korzyści z jej nabycia, z szyderstwem odepchnął niewczesne skrupuły i sam, na swoją rękę postanowił zabawić się w magnata.

Raz osiodławszy zamiar wyzucia Sokolnika z majątku, Dahlman bystrym czwałem puścił się na gościniec dalszych wniosków i następstw; z każdą chwilą utwierdzał w sobie i hartował przedsięwzięcie.

Bankier, o wschodzie słońca zerwał się z niewdzięcznej pościeli, długo ważył w umyśle środki osłodzenia hrabiemu gorzkiej pigułki, dłużej jeszcze obrachowywał spodziewane zyski z zręcznego zakręcenia sprawą, dowiedziawszy się wreszcie, że w pałacu wszyscy już byli na nogach, zabrał z sobą papiery; jako rycerz wstępujący w szranki naciska przyłbicę, nasunął na oczy kapelusz, i pełnym postanowienia krokiem ruszył do komnaty dłużnika.

Sokolnik poskoczył ku gościowi, ujął go uprzejmie za ręce, z uśmiechem posadził w najwygodniejszym krześle. Widok papierów ostemplowanych cesarskim orłem, dotkliwie wzrok mu zadrasnął, ale podniósł nieznacznie rozmowę i uciął z kopyta na step mniej więcej dowcipnych ogólników.

Bankier w pierwszym zaraz zapędzie osadził go na miejscu.

— Przejdźmy do rzeczy ważniejszych, panie hrabio — rzekł, składając na stole papiery. W domu pańskim, dzięki ujmującej gościnności gospodarstwa, czas szybko mija, chwila wyjazdu na myśl nie przychodzi, godziny jednak moje są policzone, a zanim ostatnia wybije, zdałoby się pomówić trochę o naszych interesach.

— Zapewne, panie Dahlman, zapewne; pomówimy, kiedy zechcesz—natychmiast, albo raczej pan będziesz mówił, ja będę słuchał. Przy takim mistrzu, godniejsi odemnie ucznie mogliby wiele jeszcze skorzystać.

— Bądź pan hrabia przekonanym, że przedewszystkiem własną jego korzyść mam na celu. Umiem cenić drogą przyjaźń, jaką mnie dom ten zaszczyca, i z prawdziwem szczęściem schwycę każdą sposobność dowiedzenia mojej wdzięczności.

— Za pozwoleniem — przerwał Sokolnik — mówiąc o wdzięczności, polujesz pan na naszym gruncie. Dotąd ja tylko uginam się pod ciężarem braterskich twoich przysług.

— Nie mówmy o tem, panie hrabio; ważniejsze sprawy tłoczą się nam pod uwagę. Lato dobiega połowy; zbliża się termin wzajemnych porachunków, czekają mnie znaczne wypłaty; nie wiem, jak im potrafię zadośćuczynić, zwłaszcza, jeżeli nie będę mógł, stosownie do naszej umowy, podnieść na 1-go lipca summ umieszczonych na dobrach pana hrabiego. Czegoż się mam spodziewać?

— Panie Dahlman—odparł Sokolnik, wpatrując się pilnie w arabeski złotej tabakiery—ścisłe nasze stosunki nakazują mi zupełną otwartość—nieograniczoną szczerość. Nie chcę długo nadużywać twego wyrozumienia, odpowiem szczerze, otwarcie. Pomimo najgorętszej chęci, muszę jeszcze na ten rok odwołać się do twojej łaski. Na przyszły św. Jan, poprzysięgam, wypłacę się do szeląga. Zaległe procenta, chciej również do tegoż terminu odłożyć. W ostatnich czasach, wydałem siłę pieniędzy na gospodarskie ulepszenia. Grosz to nie stracony; mam nadzieję, że wkrótce obfity plon mi przyniesie. Nadto, w tej chwili, mam właśnie na myśli pewne rolnicze i przemysłowe kombinacye—o skutku nie wątpię; za kilka najdalej miesięcy, otrzymam dotykalne, brzęczące dowody. Sąsiad mój, pułkownik Gruszewski chce koniecznie sprzedać mi dwie wioski; kupno to zaokrągliłoby moje posiadłości. Pomyślę; jeżeli nie będzie się drożył, kupię; w przeciwnym razie poprzestanę na oczyszczeniu własnego majątku. Zakres moich działań się nie rozszerzy, uniknę atoli natomiast wszelkich trudności i niepotrzebnych w moim wieku kłopotów.

Dahlman przymruzył oczy; wyraz pogardy mimowolnie wybiegł mu na lica.

— Ani kapitału, ani procentu! — rzekł, zakładając ręce na piersiach; zawód ten stawia mnie w krytycznem położeniu, sam nie wiem, co począć—poprzyjmowałem nieubłagane zobowiązania. 1-go lipca, kassa moja, pod karą śmierci, musi dla wierzycieli moich stanąć otworem...

— I pokazać im — przerwał Sokolnik — kopalnię złota, której dna najdłuższy weksel nie dosięgnie. Żartuj zdrów panie Dahlman! Gdybym dziesiątą część twego kredytu miał na zawołanie, pomierzyłbym się z pierwszymi panami Cesarstwa. Co mówię! gdybyś chciał dziś, w niewyczerpanej dla domu mojego dobroci, lichą częścią twoich dostatków raz jeszcze przyjść w pomoc moim zamiarom, jednym zamachem ręki oczyściłbym majątek i dokupił dwie wioski pułkownika Gruszewskiego.

Bankier zerwał się z krzesła.

— Na Boga! — zawołał — pan hrabia grubo się mylisz, przesądzasz o mojem, a więcej jeszcze o swojem własnem położeniu. Postawmy rzecz w prawdziwem świetle. Szczera przyjaźń o tyle żyje, o ile karmi się prawdą. Pan hrabia toczysz się w przepaść i łudzisz płonną nadzieją ocalenia. Serce mi pęka, gdy pomyślę, że ten sam dom, w którym doznałem tyle gościnności, za miesiąc może zamknie swe wrota dla dzisiejszego właściciela. Przestańmy mówić, pan hrabia o dokupie nowych wiosek, ja o zaległych procentach; powiedzmy sobie zato, że lekceważąc sprawę, za kilka tygodni, tak z tego majątku, jako z moich kapitałów, dym tylko pozostanie!

Bankier wziął arkusz białego papieru, rozłożył swoje sprawozdania i wyciągi, i z niewypowiedzianą szybkością jął układać Sokolnikowi jego bilans.

Nadaremnie magnat silił się czasami wprowadzać go na obłędne manowce, próżno przeczył nieomylności liczb, lub przeceniał rzeczywistą wartość aktywów, Dahlman z matematyczną niemal dokładnością stawiał mu przed oczy szereg długów, dołączał procenta, obrachowywał gruntowe ciężary, wymieniał zaległości, wypisywał koszta rozpoczętych procesów — poczem, z wykazów hypotecznych, wyciągów z ksiąg gospodarskich, dostarczonych mu skrycie przez samego Lumpmana, z inwentarzów miejscowych obliczył wartość ziemi, lasów, budynków, dobytku, ruchomości.

Sokolnik nic nie miał do zarzucenia; bankier skrupulatny w rachunkach długów, szczodre ceny sypał wartościom czynnym.

Akt oskarżenia i obrony był gotów; szło o wydanie wyroku.

Dahlman podsummował obie nienawistne sobie kolumny, odrzucił ze wzgardą ołówek, który przy ostatniej cyfrze skruszył się mu był w dłoni, splótł ręce na piersiach i utopił bystry wzrok w połamanem zgryzotą obliczu Sokolnika.

Strona bierna w tysiącach, w dziesiątkach tysięcy, w krociach przewyższała stronę czynną.

— Cóż, panie hrabio — zapytał bankier z przyciskiem — czy miałem słuszność?

— Niepodobna!... niedouwierzenia!... mylimy się oba — odrzekł grobowym głosem dygnitarz.

— Jak żyję, nie pomyliłem się w rachunkach, ale mniejsza o to; zacznijmy na nowo.

— Nie—nie, dość tego! nie przeczę pańskiej biegłości; szalony wypadek!... nie, nie, powtarzam, to niepodobna!

— Daj Boże! lękam się jednak, aby wkrótce sądowe wyroki niewystosowały panu hrabiemu daleko surowszych rachunków.

— Jesteś bez miłosierdzia, panie Dahlman.

— Jak lekarz lub spowiednik; jako ten, który wprawdzie tylko widzi środek ocalenia ciała lub zbawienia duszy.

Dahlman wsparł czoło na dłoni, wpatrzył się w papier, podniósł ołówek i zaczął z niechcenia kreślić na pół niedokończone cyfry. Sokolnik śledził każdy ruch jego palców, z drżącem sercem czekał formuły zbawienia.

Po chwili namysłu, bankier wyciągnął się w krześle i rzekł:

— Wierzycielem głównym, chociaż najmniej natarczywym, jestem ja. Pomimo to, z mojej strony zgoda na zwłokę na nic się nie przyda; pojmujesz bowiem pan hrabia, że skoro pretensye zewsząd rzucą się na majątek, ja, pod stratą własnej fortuny, zakładać rąk w bezczynności nie mogę. Pośpieszę więc razem, a nawet przed drugimi, aby zabezpieczyć moją należytość. Jeżeli zatem rzeczy pójdą zwykłym trybem, nie ma wątpienia, że massa nie wystarczy na zaspokojenie długów.

Sokolnik stłumił ciężkie westchnienie; Dahlman ciągnął dalej:

— O ocaleniu majątku nie mówmy; żaden z nas nie jest alchemistą, a ludzkie środki ku temu nie wystarczą. Postawmy kwestyę na łatwiejszem stanowisku. Pan hrabia masz córkę na wydaniu, żonę przyzwyczajoną do wygód, sam nadto z trudnością zgodziłbyś się zejść na ostatnie szczeble społecznej drabiny.

— Masz słuszność; raczej śmierć niż podobne upokorzenie.

— Rozumiem to uczucie — odparł spokojnie bankier — i mam nadzieję, że unikniemy gorzkiej dla nas obu ostateczności.

— Masz nadzieję?... mów! jaką? gdzie? chociażbym miał duszę zaprzedać!

— Ten towar dziś nie popłaca. Niepotrzebujesz pan hrabia nic na targ wystawiać. Sprawę w następujący sposób myślę rozwiązać. Rozpiszę natychmiast listy do moich przyjaciół; za kilkanaście dni musi się znaleźć w kassie pańskiej pół miliona w gotówce. Wprzód, nim nadejdą pozwy, zjedzie tu kilku główniejszych wierzycieli. Za pierwszem żądaniem wypłaty, poprosisz ich pan hrabia o zwłokę i otworzysz kassę. Widok pieniędzy wzbudzi w nich zaufanie i skłoni do uległości. Odjadą i rozniosą wieść o tem co widzieli. Jeden z moich podwładnych, który przybędzie tu z pieniędzmi, tegoż samego dnia odwiezie je do Lwowa. Ja tymczasem pod ręką, skupię jak największą ilość ręcznych pańskich i urzędowych długów, i korzystając z chwilowego zawieszenia broni, zaintabuluję się pod pierwszym numerem na hypotece. Resztę wierzycieli odeślesz pan hrabia do mnie, odtąd bowiem ze mną tylko będą mieli do czynienia.

— Jakto, panie Dahlman; tyle ofiar!... cóż ja z mojej strony? jakże zawdzięczę?

— Za pozwoleniem; jeszcze nie skończyłem. Przyjmuję na siebie wszystkie ciężary, ale pod warunkiem, że rękojmia ich do mnie będzie należeć. Dobra pana hrabiego wraz z wszystkiem co się na gruncie znajduje, przechodzą na moją własność. Zgadzam się jednak do zamężcia hrabianki, zostawić zacnym jej rodzicom używanie pałacu, tytułu nawet posiadaczów włości. Nadto, obowiązuję się panu hrabiemu i pani hrabinie płacić tysiąc dukatów dożywotnej pensyi, wypłacalnej, do dnia zaślubin hrabianki, w tym oto pałacu, następnie we Lwowie, w dobrach zięcia, lub gdzie pan hrabia rozkażesz.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Przedmioty Gospodarstwa Domowego *Jerozolimska 72* **MAGAZYN „METROPOL"** Sprzedaż za gotówkę i NA RATY od 30 kop. tygodniowo *Jerozolimska 72* 766—50-43

Gabinet-dentystyczny.
ze specyalną pracownią do wstawiania
ZĘBÓW SZTUCZNYCH
od 1 do 10 rub. za sztukę
818-52-30 przyjęcie od 9 do 6:
Chmielna N-r 16. m. 4.

Dla Pań malujących
Farby, Przybory Artystyczno Malarskie, Wzory, Szkice, Rzeźby i t. p. poleca Skład
T. CZARNOCKIEGO
101, Marszałkowska 101,
w WARSZAWIE. 812-50-30

K. M. Schröder
Nowy Świat 24.
Skład fortepianów i pianin.
Wynajem i sprzedaż na raty.
Telefon 1288. **Cenniki gratis i franco.**
914—52—7

„PRIMUS"
Kuchenki naftowo - gazowe palące się ***bez knota***, nie wydzielając odoru i kopcia.
Sprzedaż u
Ed. Dusoge
Nowy Świat 5.
Cenniki gratis i franco. 945—25—7

J. SZTENGEL
Najlepsze Herbatniki i Ciasteczka do Wina
Sucharki Hygieniczne
Karlsbadzkie i Węgierskie
CUKIERNIA
Plac Św. Aleksandra róg Alei Ujazdowskiej.
961—6—4

KAŻDY PRENUMERATOR
„Tygodnika illustrowanego"
w r. 1899
otrzyma bez żadnej dopłaty
co miesiąc tom
Dzieł H. SIENKIEWICZA
czyli ***rocznie 12 tomów.***
Szczegóły w prospektach. 986-1-1
Prenumerata „Tyg. illustr." wynosi **rocznie** (wraz z 12-ma tomami Sienkiewicza) rub. 8, z przesyłką pocztą rub. 12.
Adres Administracyi **„Tygodnika illustrowanego"** Krakowskie-Przedmieście № 17.

J. Hałaczkiewicz, po powrocie z zagranicy poleca najświeższe nowości. Przyjmuje pióra i wachlarze do prania, farby i fryzowania z gwarancyą niezniszczenia. Ceny nader umiarkowane. Bielańska 7, Hotel Krakowski I piętro. 976—10—2

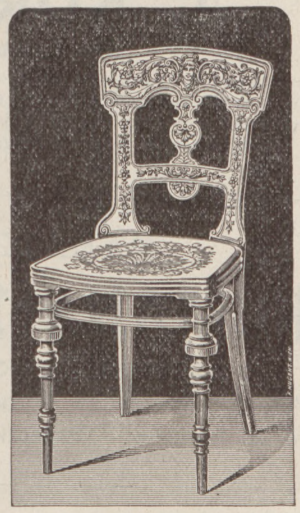


Opal

Ach! cóż mi się stało,
Suknia pełna plam!
To mnie smuci mało—
Przecież „Opal" mam.

Nie boję się mamy,
Rózgi ni też krzyku,
Ot wywabię plamy
I sukienka w szyku.— 966—3—3

Do nabycia we wszystkich składach materyałów aptecznych
Eksporterzy A. REKOWSKI & Co Poznań.



NAJWYŻEJ ZATWIERDZONE
AKCYJNE TOWARZYSTWO
Fabryki Mebli Wiedeńskich
JAKÓBA i JÓZEFA KOHN
Warszawa, Plac-Teatralny № 11.
Poleca
wielki wybór najgustowniejszych i najelegantszych mebli wiedeńskich,
a mianowicie:
MEBLE ZWYCZAJNE, MEBLE FANTAZYJNE, MEBLE BUDUAROWE, MEBLE GABINETOWE, MEBLE SALONOWE i t. p. **wyplatane, wypalane, imitacya skóry w różnych kolorach i deseniach, kryte materyą, skórą, pluszem** i t. p.
957-6-3
Pierwsze źródło tej branży.
CENY PRZYSTĘPNE.

Magazyn Okryć i Futer Damskich
JÓZEFA SKWARY
Niecała № 14 (pierwszy dom od Ogrodu Saskiego),
poleca nowe fasony okryć na sezon obecny w wielkim wyborze od skromnych do najstrojniejszych, posiada wybór materyałów krajowych i zagranicznych, z których przyjmuje zamówienia.
Przyczem ma honor zawiadomić Szanownych Rodziców i Opiekunów, iż niezależnie od powyższego magazynu Okryć damskich poleca:



Bazar Szkolny
przy ulicy Niecałej Nr. 12.
(drugi dom od Ogrodu Saskiego) również pod firmą:
„JÓZEF SKWARA"
w którym przygotował wielką ilość ubrań szkolnych do wszystkich zakładów naukowych
a mianowicie:

Mundury od rb.	9 do 25	
Szynele od rb.	14 do 35	
Garnitury bluzowe od rb.	6.50 do 23	

Również poleca w wielkim wyborze:

Garniturki od rb.	4 do 15
Palta od rb.	5 do 20
Żakietki damskie od rb.	5 do 18
Płaszczyki od rb.	7 do 20
Szubki od rb.	12 do 30
Sukienki od rb.	4 do 16
Mundurki dla pensjonarek od rb.	10 do 15

oraz czapki paski i. t. p.
Przyjmuje również karbowanie plisowanie rurkowanie wszelkich materjałów. 975-4-2
Wyżej wymienione Magazyny przyjmują zamówienia i z powierzonych materjałów.

PIERWSZORZĘDNE BIURO NAUCZYCIELSKIE
Felicyi Ginejko przy zakładzie froebelowskim ***Jadwigi Chrząszczewskiej***
w Warszawie, Nowy-Świat 21. 801-8-8

ZAKŁAD GALWANICZNY L. Kardaszyńskiego
ulica Czysta Nr. 8 w Warszawie.
Przyjmuje do reperacyi i odnawiania wszelkie wyroby **z różnych metali** po możliwie **nizkich cenach.** Stołowa robota z 2-letnią piśmienną gwarancyą. 760—25—23

F. Pierzchalski
MAZOWIECKA 8
SKŁAD SZKŁA
krajowego i zagranicznego
WYBÓR DUŻY.
CENY PRZYSTĘPNE.
Własna Malarnia Porcelany.
Ogromny wybór przedmiotów do upiększenia.
967-10-2

ZAKŁAD SZCZOTKARSKI
Józefa Wasilewskiego,
Egzystujący od r. 1889 w okolicy placu Ś-go Aleksandra — znacznie powiększyłem i przeniosłem do nowo-otworzonego Sklepu
przy ul. Mokotowskiej № 55.
Daje wyroby trwałe.
Ceny przystępne.

ZAKŁD GALWANICZNY
JANA ŻABOKLICKIEGO
b. Galwanizera firmy „Iflanda i p. Filipskiego"
Senatorska № 28-30,
(dom Hr. Zamojskiego)
Przyjmuje złocenie, srebrzenie, niklowanie i oksydowanie wszelkich metali.
894—25—12

NOWOŚĆ
Gotowe Stemple - Monogramy Metalowe
Niezbędne i praktyczne dla każdego **do znaczenia bielizny domowej**, drukowania na papierze, kopertach, książkach i t. p. Cena tylko **20** kop. Poduszki niewysychające **z niewypierającym się tuszem** do znaczenia bielizny po **25** kop. Polecam także wszelkie stemple dla Kantorów, Banków i Urzędów. 952-10-6
Drukarnia i Fabryka Stempli
I. D. LEWINSOHNA
w Warszawie, Magazyn: Senatorska 30 wprost Kościoła.

Dozw. przez Urz. lek. za N. 337 na ogól. zas. handl.



PUDER IRIS
nieszkodliwy,
dostać można w składach aptecznych i perfumeryjnych, prawdziwy tylko w blaszanem opakowaniu z podpisem **H. Lachs.**
Pudełko kop. 15, 30 i 60.
Główny Skład Solna № 9.
947—...—3

SPECYALNY ZAKŁAD
Reparacyi maszyn do szycia
W. KALINOWSKI
Wspólna Nr. 15 785-50-39

DENTYSTA CHWAT
Królewska 29.
Specjalność: Leczenie i plombowanie zębów — **Zęby sztuczne** od 9-ej do 11-ej rano wyjmowanie chorych zębów pod **Chloroformem** w obecności lekarza. 937 25 8

Specyalna Pracownia
Okryć Damskich i Wierzchów do Futer
oraz przyjmuje wszelkie obstalunki
po cenach umiarkowanych
D. SOŁOWIEJ
Warszawa, ulica Bielańska № 19, mieszkania № 3.
969—12—3

Zmiana Adresu!! Mazowiecka № 5. 935-25-6

ST. PRZEZDZIECKI,

Przeniósł Magazyn Ubiorów dziecięcych, oraz Ubrań dla Uczniów *na Mazowiecką Nr. 5.*

Zmiana Adresu!! Mazowiecka № 5.

MAGAZYN
Okryć, Sukien i Kostyumów Damskich oraz Wierzchów do futer,
wykonywa takowe podług modeli zagranicznych.—**Żelazna Brama Nr. 2, m. 6.**
ADOLF ZAJDENARBEIT.
960—12—4

„Sudorivorat"
Potniki do obuwia męzkiego i damskiego. Obstalunki od rs. 3 załatwiam za zaliczeniami. Nowy Świat 61. 908-24-13

W Szkole Haliny z Leszczyńskich
TOKARZEWSKIEJ
otwarte kursa **rysunku, malarstwa**, pod kierunkiem artysty malarza **ZYGMUNTA ANDRYCHEWICZA.** Semestr (półrocze) rysunków rs. **15.** Wykwintny pensyonat dla panien dorosłych, oraz dla kształcących się prywatnie. **Hortensya 7.**
970-F-3

Była Nauczycielka
przyjmuje na stancyę kształcące się panienki w różnych zakładach naukowych. 923-3-3
Fortepian na miejscu. Cena nizka.
Złota 36—33.

W.W. Paniom
Wyborowe i zawsze świeże
Ciasta i Cukry
poleca 914—20—12
CUKIERNIA W. Ładewskiego
Leszno Nr. 14.

Maszynki do mięsa bez noży
Maszynki do wyjmowania pestek z wiśni
Maszynki do zszywania próbek
Rowery damskie 898-15-15
polecają:
JULJUSZ HEGNER i S-ka
WARSZAWA
Plac Ś-go Aleksandra № 8.

!!!WAŻNE DLA DAM!!!
MAGAZYN
Okryć Damskich
S. LEWI,
Niecała 12, I-e piętro.
Roboty wykonywają się przez krawców męzkich, podług ostatnich żurnali w najkrótszym terminie.
CENY NAJPRZYSTĘPNIEJSZE. 686-25-14

Ważne dla pp. Krawcowych
Kroazy we wszystkich kolorach, **Nicianki, Towary Norymberskie** i **wszelkie dodatki do sukien** po cenach najniższych 758-25-23
poleca Magazyn
M. SADOWSKIEGO
7. PODWALE 7.

Po dziesięcioletniej praktyce w pierwszej haftarni Panny Bobrowskiej, otworzyłam pracownię haftów i przyjmuję roboty maszynowe i ręczne. 759-24-23
Miodowa Nr. 1.
miesz. 17, 2 brama 1 piętro

NOWY ZARZĄD
CZYTELNIA DLA KOBIET
Warecka 9.
Stale zaopatruje z nowości wszystkie działy. Bogaty dobór dzieł poważnych oraz klasycznych w 5 językach. Dla abonentek bez dopłaty 18 czasopism w 4 językach. Abonament miesięcznie **40** kop. 817—32—11
Wysyłka na prowincyę.

MAGAZYN MÓD
i Pracownia Kwiatów Sztucznych
podług modeli Paryzkich 902—24—8
A. OJRZANOWSKIEJ
w Warszawie, Rymarska Nr. 2.
Poleca na każden sezon kwiaty, girlandy ślubne oraz wielki wybór kapeluszy gotowych. Przyjmuje wszelkie obstalunki. Ceny umiarkowane.

Okulary, Binokle i Lornetki od rs. 1. **Pasy brzuszne i Bandaże rupturowe** sprężynowe, gumowe, lekkie i nietamujące ruchów ciała od rs. 2. **Opaski hygieniczne** damskie ulepszone po kop. 40, 75 i rs. 1. Obstalunki listowne uskuteczniam bezzwłocznie. 868-40-9
Michał Pik, optyk mech. m. Warsz. **Warszawa, ulica Miodowa nr. 1.**

Pierwszorzędne biuro **Michaliny Ptak i Antoniny Piaseckiej** poleca nauczycieli nauczycielki, bony, sprowadza cudzoziemki. Krakowskie Przedmieście Nr. 38 wprost Placu Saskiego.
904—25—9

REKOMENDACYA SŁUŻBY.
Obecnie otworzyłem Kantor Kaucyonowany Rekomendacyjny Służby, pod swoją firmą **Krakowskie-Przedmieście i róg Podwala Nr 91 bez wpisowego** a to dla udogodnienia Sz. Państwu. Będę się starał zasłużyć na względy jak w latach poprzednich. Z Szacunkiem.
820-12-2 **S. Karasiewicz.**

BIURO NAUCZYCIELSKIE
BRONISŁAWY GOLCZEWSKIEJ
Nowotworzone pierwszorzędne kaucjonowane. ***Rekomenduje*** nauczycieli, nauczycielki, bony różnych narodowości. **44 S.-Krzyżka 44.** 963—25—2

Najnowsze Fasony
SUKIEN, OKRYĆ I ŻAKIETÓW
oraz wybór gotowej **Konfekcji** poleca
Magazyn M. BRONZ,
Miodowa № 4, 1-e piętro.
Obstalunki pojedyncze jak i całe wyprawy wykonywa z własnych i powierzonych materjałów.
Ceny umiarkowane. 982-3-1

SZKOŁA RZEMIOSŁ ŻEŃSKA
A. KORYCIŃSKIEJ,
Krakowskie-Przedmieście № 17, 968—6—2
przyjmuje uczennice na krój sukien, bielizny, szycie ,haft, pończosznictwo, rysunki, malarstwo, wypalanie, koszykarstwo, introligatorstwo.—Przysposabiam nauczycielki do robót na pensje.—Patenty wydaje.—Pensjonarki przyjmuje.—Szkoła nagrodzona medalami: bronzowemi i złotym w Warszawie, w Petersburgu; w Czykago medalem i dyplomem uznania.

FABRYKA KAPELUSZY
ROMANA DĄBROWSKIEGO
Magazyn Główny 5 Żabia 5.
Poleca największy wybór **kapeluszy ubranych** Damskich i Dziecinnych oraz fasonów. **Czapeczki futrzane Mufki i kołnierze** 980-3-2

Od Administracyi Albumu Artystycznego
„PANORAMA"
Nowe wydawnictwo albumowe polskie wychodzi w Warszawic zeszytami. Całe wydawnictwo obejmie 24 zeszyty, podzielone na 4 serye.
Serya I **Nasze piękne artystki**, II **Nasi artyści**, III **Obrazy znakomitych malarzy**, IV **Piękne Polki.**
Warunki prenumeraty w Warszawie: Pojedyńczy zeszyt kop. **60**, w przedpłacie za **4** zeszyty po kop. **50** za zeszyt. *Na prowincyi.* Cena pojedynczego zeszytu kop **60** i **10** kop. za przesyłkę pocztową. w przedpłacie za **6** zeszytów rs. **3** kop. **60** wraz z przesyłką.
Wszyscy bez wyjątku posiadacze całego dzieła bez względu czy je nabyli częściowo lub drogą prenumeraty otrzymają
bezpłatne premium
swój własny **portret fotograficzny** matowy na brystolu formatu 40×50 centym. jedynie za złożeniem fotografii. 943—8—8
Adres Administracyi: ***Warszawa, Nowy-Świat № 61, A. HINCHA i S-ka.***
Do nabycia we wszystkich księgarniach. Pierwszy zeszyt wyszedł z druku.

WARSZAWSKI ZAKŁAD REPARACYJNY.
W. BŁAŻEJEWSKIEGO.
Widok 24 w Warszawie. 933-50-8
przyjmuje reparacye **maszyn do szycia** wszelkich systemów.

Dozwolone przez Władzę Lekarską
na ogólnych zasadach handlu
Délice (Delis)
Wynalazek Towarzystwa Przemysłowego przetworów Chemicznych w Paryżu Compagnie Industrielle de produits chimique á Paris). Zbiór roślin Alpejskich, służących do domowego wyrabiania francuzkich likierów żółtego i zielonego **„Chartreuse"** et **„Benedictine"** pod względem smaku, zapachu i koloru w niczem nie ustępujących likierom wyrabianym we Francyi. Butelka likieru z roślin **Delice** wynosi od 75 do 90 kop. gdy tymczasem butelka fabrycznego likieru francuzkiego kosztuje od rs. 5 do 7. Cena jednego pudełka „Délice" bez kosztów przesyłki kop. 50, przy zamówieniach nie mniej niż 10 pudełek koszta przesyłki się nie liczą i zamówienia wysyłają się za załiczeniem. Sposób użycia znajduje się przy każdem pudełku. Miejsce sprzedaży w Warszawie przy ul. S-to Jerskiej nr. 28 u Ch. Kamienomostskiego, do którego zechcą się zgłosić osoby, któreby pragnęły mieć wyłączną sprzedaż w pewnych rajonach. Można również dostać „Delice" we wszystkich znaczniejszych zakładach aptekarskich i gastronomicznych.
900—10—10

GAMASTON
Wiara ✽
Nadzieja ✽
Miłość ✽
Nowelle, z illustracyami
A. Kamieńskiego i S. Sawiczewskiego.
Rs. 1 kop. 50.
Do nabycia we wszystkich księgarniach i w. Administracyi
„Tygodnika Mód i Powieści."